

Mit rozpieszczonego dziecka



ALFIE KOHN

*wyzwanie rzucone
stereotypom
na temat
wychowania*

Mit rozpieszczonego dziecka

ALFIE KOHN

*wyzwanie rzucone
stereotypom
na temat
wychowania*

Przekład z języka angielskiego Karolina Bochenek

Dla M.W.

*Twoje uwagi zawsze pozwalały mi udoskonalać to,
co piszę.*

Tytuł oryginału
THE MYTH OF THE SPOILED CHILD. CHALLENGING THE CONVENTIONAL
WISDOM ABOUT CHILDREN AND PARENTING

Projekt graficzny okładki
ALEKSANDRA SZEMPRUCH

Redakcja
AGATA RĘKAWEK

2014 © Copyright by Alfie Kohn
First published in the United States by Da Capo Press, an imprint
of Perseus Books, a division of PBG Publishing, LLC, a subsidiary of
Hachette Book Group, Inc.

© Copyright for the Polish translation and edition by Wydawnictwo
MiND 2018

ISBN 978-83-62445-66-0

Spis rzeczy

Wprowadzenie	7
Rozdział 1	
POBŁAŻLIWI RODZICE, ROZPIESZCZONE DZIECI I INNE MITY	15
Tym razem to co innego... znowu.....	15
Czy rodzice rzeczywiście są permissywni ?.....	25
Czy młodzi ludzie naprawdę są zepsuci?	33
Czy permissywne rodzicielstwo psuje dzieci?	41
Rozdział 2	
WŁAŚCIWE PODEJŚCIE DO RODZICIELSTWA.....	47
Argumenty za rodzicielstwem opartym na współpracy	48
Błędne założenia.....	55
Wartości wewnętrzne	60
Rozdział 3	
NADOPIEKUŃCZOŚĆ	
– WYOLBRZYMIONY PROBLEM.....	66
Rodzicielstwo intruzywne.....	70
Rozpieszczanie czy kontrolowanie.....	76
Rodzicielstwo helikopterowe – wersja dla studentów	85
Rozdział 4	
MOTYWACJA, PORAŻKA I NAGRODY	98
Po co się starać, skoro wszyscy dostaną nagrody?	102
Nagrody i wyróżnienia	105
Trzeba przyzwyczajać się do bólu	111

Czy porażka jest przydatna?	118
Rozdział 5	
PRZEKONANIA IDEOLOGICZNE. WIARA	
W WARUNKOWOŚĆ, NIEDOBÓR I DEPRYWACJĘ....	127
Warunkowość	129
Niedobór	135
Deprywacja.....	138
Utrzymanie <i>status quo</i>	142
Rozdział 6	
POCZUCIE WŁASNEJ WARTOŚCI	146
Oddzielenie prawdy od fikcji.....	148
„Lubię siebie tylko wtedy, gdy...”	159
Rozwój warunkowego poczucia własnej wartości.....	166
Rozdział 7	
DLACZEGO SAMODYSCYPLINA JEST	
PRZEREKLAMOWANA?	172
Kolejne błędne interpretacje badań naukowych.....	173
Przesadna samokontrola	179
Kontrola wewnętrzna	186
Wytrwałość	191
Samodyscyplina jako imperatyw moralny	199
Zachowanie nie zawsze wynika z cech osobowości	203
Kto na tym korzysta?	206
Rozdział 8	
WYCHOWANIE BUNTOWNIKÓW	212
Epidemia uległości	215

Przepis na refleksyjną buntowniczość.....	221
Moment olśnienia	223
Jak rozmawiać z dzieckiem?	226
Przypisy.....	231
Bibliografia	260
Indeks.....	275

WPROWADZENIE

Pewnego dnia podczas pogawędki z przyjacielem językoznawca George Lakoff zastanawiał się, czy dałoby się wymyślić pytanie, które pozwoliłoby odgadnąć zapatrywania polityczne respondentów. Przyjaciel zasugerował mu, że owszem, można by odróżnić liberałów od konserwatystów, jeśli spyta się ich: „Czy wzięłbyś na ręce swoje dziecko, kiedy płacze w nocy?”¹.

Lakoff przytacza tę historię na początku książki *Moral Politics*, wyjaśniając, w jaki sposób poglądy na aborcję, karę śmierci, posiadanie broni, ochronę środowiska, politykę zagraniczną czy imigrację ujawniają głębsze przekonania moralne. Jego zdaniem, przekonania te można przyporządkować do konkretnych modeli rodzinnych: poglądy konserwatywne do modelu „surowego ojca”, a liberalne – do „opiekuńczego rodzica”.

Po lekturze jego ponadczterystustronicowej książki wciąż nie jestem pewien, co miał na myśli. Czy modele rodzinne to tylko metafory? A może podejście do kwestii wychowawczych rzeczywiście ma związek z poglądami politycznymi? Jeśli tak, to czy istnieją na to jakiegokolwiek dowody?²

Niezależnie od tego, sam pomysł wydaje mi się fascynujący. Może rzeczywiście osoby autorytarne, które wymuszają na dziecku posłuszeństwo, są statystycznie w większości przeciwne politycznym akcjom afirmatywnym. A rodzice, którzy zamiast klapsów wołają rozmowę, może chętniej popierają ulgi

podatkowe dla odnawialnych źródeł energii. Taka perspektywa nadaje nowe znaczenie powiedzeniu Wordswortha: „Dziecko jest ojcem człowieka”.

Jest tylko jeden problem z tą teorią. Mnóstwo osób o liberalnych poglądach zamienia się w zagorzałych konserwatystów, gdy rozmowa zejdzie na temat dzieci i rodzicielstwa. To właśnie ta interesująca sprzeczność zainspirowała mnie do napisania niniejszej książki.

Po raz pierwszy zwróciłem na nią uwagę, kiedy przyjrzałem się powszechnemu podejściu do edukacji. Jeśli zajrzemy do artykułów redakcyjnych w centrolewicowych gazetach albo do esejów postępowych autorów, to w większości takich zagadnień, jak polityka podatkowa lub prawa obywatelskie, usłyszymy mniej więcej to, czego się spodziewamy. Ale w kwestii edukacji spotkamy się z bezkompromisowym podejściem, które odpowiada raczej zapatrywaniom konserwatywnym niż liberalnym. Większość z tych autorów opowie się za odgórną, korporacyjną reformą szkolnictwa, narzucaniem uniwersalnych standardów i programów nauczania, mniejszą ochroną miejsc pracy dla nauczycieli, wprowadzeniem częstych testów, a także za systemem nagród i kar, który ma służyć uzyskaniu lepszych wyników w nauce oraz zmusić zarówno uczniów, jak i nauczycieli do podporządkowania się zasadom.

Nasze podejście do edukacji w dużej mierze odzwierciedla przekonania na temat dzieci oraz tego, jak powinny być wychowywane. Naturalnie, politycy rzadko poruszają wprost kwestię rodzicielstwa, ale felietoniści czasem wtrącają swoje trzy grosze, prezentując wówczas konserwatywne poglądy, nawet jeśli mają liberalne zapatrywania polityczne³. Artykuły na temat rodzicielstwa publikowane w czasopismach opiniotwórczych również

podlegają temu trendowi. Mimo różnych poglądów na szereg innych tematów, jeśli chodzi o dzieci, mamy zwykle do czynienia z jednym spójnym podejściem. Oto jego główne tezy.

- Żyjemy w czasach rozpieszczania dzieci. Pobłażliwi rodzice nie stawiają im żadnych granic i nie potrafią niczego odmówić.
- Rodzice są nadopiekuńczy i nie pozwalają dzieciom mierzyć się z naturalnymi konsekwencjami własnych błędów. Dzieci nauczyłyby się znacznie więcej, gdyby rodzice nie chronili ich przed porażkami.
- Dorośli są tak bardzo skupieni na tym, by dzieci czuły się wyjątkowe, że wychowują pokolenie roszczeniowych narcyzów. Młodzi ludzie otrzymują medale nawet wtedy, gdy ich drużyna przegrywa, są chwaleni za wszystko i zbyt często dostają dobre stopnie. Niestety, bezlitosny, prawdziwy świat zgotuje im zimny prysznic.
- Młodemu ludziom brakuje nie poczucia własnej wartości, lecz samodyscypliny, czyli zdolności odraczania gratyfikacji, kontrolowania własnych impulsów i umiejętności konsekwentnego realizowania zadań.

Te tradycyjne poglądy słyszymy właściwie wszędzie. Stały się one powszechnymi stereotypami na temat dzieci do tego stopnia, że pojawiają się niemal we wszystkich gazetach i czasopismach. Jeśli chodzi o poczucie własnej wartości, to zakłada się, że dzieci mają go za dużo. Zdaniem większości autorów, młodemu ludziom brakuje dyscypliny i granic stawianych przez rodziców. Wytrwałość i determinację uważa się za coś bardzo pozytywnego, chociaż nikt nigdy nie poddaje ich analizie. Po-

wszeczność tej tradycyjnej perspektywy wyjaśnia, dlaczego nawet liberałowie prezentują głęboko konserwatywne podejście wychowawcze.

Pisząc tę książkę, poszukiwałem badań naukowych, które pozwolą oddzielić prawdę od mitów. Natknąłem się także na liczne artykuły w popularnej prasie, o takich tytułach: *Zepsuci do szpiku kości. Dlaczego dzieci nami rządzą?* („The New Yorker”), *Jak skazać swoje dzieci na terapię* („The Atlantic”), *Po prostu zabroń. Dlaczego rodzice muszą stawiać granice dzieciom, które chcą wszystko?* („Newsweek”), *Rodzice i dzieci. Kto tutaj rządzi?* oraz *Millenialsi – pokolenie JA* („The Time”), *Nadopiekuńczość* („Psychology Today”), *Problem z poczuciem własnej wartości* („The New York Times Magazine”).

Wystarczy przeczytać jeden z nich, aby wiedzieć, jakie poglądy prezentują pozostałe. To samo dotyczy gazet, blogów i książek⁴. Rodzice są krytykowani za chronienie dzieci i zbytnią pobłażliwość. Zarzuca się im, że kupują za dużo zabawek, a dzieciom, że są zbyt egoistyczne i nie mają szacunku dla dorosłych ani motywacji do działania. Można odnieść wrażenie, że autorzy takich publikacji wrzucają do jednego worka wszystko, co ich drażni w kwestiach wychowawczych. Dzieciom pokazuje się zbyt wiele reklam! Młodzi ludzie biorą udział w zbyt wielu zajęciach pozalekcyjnych! Technologia ich rozprasza! A w dodatku są zbyt materialistyczni, indywidualistyczni i narcystyczni, dlatego że zostali wychowani przez uległych, pobłażliwych lub postępowych rodziców. Autorzy akademicy posługują się czasem takimi terminami jak *turborodzicielstwo* (*intensive parenting*) lub *nadopiekuńczość* (*nurturance overload*)⁵.

W rzeczywistości wszystkie te generalizujące stwierdzenia są ze sobą sprzeczne. Dowiadujemy się, że rodzice stawiają

dzieciom wygórowane wymagania i oczekują coraz lepszych wyników w nauce (zatrudniając do pomocy korepetytorów i samemu pomagając im w odrabianiu lekcji), a jednocześnie czytamy, że próbują chronić je przed rywalizacją, przyznając medale i nagrody wszystkim bez wyjątku i za bardzo starając się je uszczęśliwić. Młodzi dorośli są często określani jako zadowoleni z siebie ignoranci, którzy w swoim zadufaniu nie dbają o rzeczywiste osiągnięcia, a jednocześnie zaznacza się, że są nieszczęśliwi i wymagają terapii⁶. Dowiadujemy się także, że w naszym społeczeństwie panuje epidemia rodzicielstwa helikopterowego, a jednocześnie rodziców krytykuje się za ignorowanie własnych dzieci z powodu zaabsorbowania innymi sprawami. Wydaje się, że autorzy takich publikacji zakładają, iż czytelnicy automatycznie zgodzą się z tymi twierdzeniami i nie dostrzegą ich niespójności, jeśli tylko będą miały negatywny wydźwięk i prezentowały tradycyjną perspektywę.

Wspomniane teksty rzadko powołują się na wyniki badań, które potwierdzałyby, że opisywane zjawiska są rzeczywiście powszechne i mają katastrofalne skutki. Zamiast tego autorzy raczą nas pojedynczymi rażącymi przykładami, byśmy odnieśli wrażenie, że reprezentują one powszechne zjawiska społeczne. Być może te niedbale napisane, niespójne i nieprzekonywające artykuły nie byłyby aż tak irytujące, gdybyśmy równie powszechnie spotykali poglądy przeciwne. Jednak mamy do czynienia z zadziwiającą zgodnością przekonań na temat dzieci i rodzicielstwa oraz brakiem ich krytycznej analizy, co jest niezwykle niepokojące. Mnóstwo publikacji przedstawia wizję zepsutych dzieci, roszczeniowych millenialsów oraz pobłażliwych lub uległych rodziców, niezwykle silnie oddziałując na świadomość społeczną. W wypadku takiej jednorodności naj-

ważniejsze jest, aby zarzuty były merytoryczne. Dlatego w niniejszej książce postanowiłem poddać je szczególnej analizie, sięgając do dowodów naukowych.

Opinie na temat dzieci i rodzicielstwa można podzielić na trzy kategorie. Pierwszą z nich są zdania opisowe: „Pobłażliwość jest zjawiskiem powszechnym”, „Porażka jest pożyteczna”, „Dzisiejsza młodzież jest bardziej narcystyczna niż kiedyś”. Druga kategoria to przewidywania: „Dzieci nadopiekuńczych rodziców nie będą sobie radzić w dorosłym życiu”, „Brak rywalizacji sprzyja przeciętności”. A trzecia to ocenny wartościujące: „Na wysokie poczucie własnej wartości trzeba sobie zasłużyć”, „Priorytetem rodzica powinno być zaobserwowanie niezależności dziecka”. Chciałbym ocenić w tej książce trafność tych zdań opisowych oraz zasadność przewidywań i założeń, na jakich opierają się oceny wartościujące, a także odnaleźć dane naukowe, które mogłyby je potwierdzić lub obalić.

W pierwszych dwóch rozdziałach przyjrę się zarzutowi, że rodzice są zbyt pobłażliwi, a dzieci rozpieszczone. Przekonamy się, że takie opinie od dawna pojawiają się w naszej kulturze, a kolejne pokolenia utrzymują, że nigdy nie było aż tak źle jak teraz. Aby zrozumieć, dlaczego tak wielu ludzi w to wierzy, poświęcę nieco miejsca na zbadanie samej natury rodzicielstwa oraz spróbuję określić styl wychowania, który rzeczywiście najlepiej służy rozwojowi dziecka.

W rozdziale trzecim rozważę zarzuty dotyczące nadopiekuńczości. Nie ma żadnych dowodów na to, że jest to zjawisko powszechne. Okazuje się natomiast, że problemem nie jest nadopiekuńczość i rozpieszczanie dzieci, ale nadmierna kontrola.

W kolejnych rozdziałach przyjrę się zarzutom, że dzieci są rzekomo nadmiernie chronione przed nieprzyjemnymi do-

świadczeniami i zbyt często otrzymują pochwały, na które nie zasługują, przez co stają się zbyt zadowolone z siebie. Tradycjonaliści z oburzeniem reagują na najmniejsze próby łagodzenia praktyki kar i rywalizacji, a ich opór opiera się na trzech przekonaniach: nagrody są konieczne, by motywować ludzi; nagrody powinny być rzadkie i przyznawane jedynie zwycięzcom; najlepszym sposobem na przygotowanie dzieci na przyszłe nieszczęścia i porażki jest narażenie ich na ból i porażkę już teraz. Twierdzenia te są zupełnie niesłuszne, ale wynikają z przekonań, które niełatwo podważyć: powinniśmy sobie zasłużyć na wszystko, czego pragniemy (warunkowość); tylko nieliczni mogą być wybitni (niedobór); a dzieci powinny nauczyć się, że życie to walka (deprywacja).

Te wartościujące oceny kształtują nasze poglądy na temat tego, jak dorośli postępują z dziećmi, a także, co dzieci myślą o sobie. W rozdziale szóstym przyjrę się faktom dotyczącym psychologicznej funkcji poczucia własnej wartości i wykazę, że nauka podważa próby zdyskredytowania tej koncepcji. Następnie skupię się na głównej kwestii spornej: czy dziecko może czuć się dobrze samo ze sobą mimo braku imponujących osiągnięć? Badania wykazały, iż bezwarunkowe poczucie własnej wartości jest kluczowym elementem zdrowia psychicznego.

Wyniki badań naukowych podważają pogląd, iż wszystkim dzieciom przydałoby się więcej samodyscypliny. W rozdziale siódmym przyjrę się bliżej tej błędnej sugestii, zgłębiając dynamikę samokontroli oraz ideologię, pod wpływem której tak wielu ludzi domaga się od dzieci większego wysiłku, opierania się pokusom oraz odkładania na później tego, co przynosi im radość. Nawet gdyby dzieci rzeczywiście były tak skupione na sobie i rozpieszczone, jak nam się wmawia, to zamiast powoły-

wać się na protestancką etykę pracy i narzucać im większą dyscyplinę, moglibyśmy pomóc im działać na rzecz zmian społecznych. W rozdziale ósmym omówię sposoby rozwijania u dzieci zdolności do kwestionowania stereotypów i niezgadania się z tym, co nie ma dla nas sensu.

Pragnę zaprosić czytelników, którzy nie uważają się za konserwatystów społecznych, do przyjrzenia się tradycyjnym poglądom na temat dzieci. Chciałbym również zachęcić wszystkich czytelników, niezależnie od ich zapatrywań politycznych i kulturowych, aby na nowo rozważyli powszechne stereotypy wychowawcze. W naszej kulturze często pojawiają się takie pytania: Czy jesteśmy wystarczająco stanowczy wobec dzieci? Czy nie angażujemy się zbyt w ich życie? Czy współczesna młodzież nie jest zbyt pewna siebie? W niniejszej książce wykażę, iż stawianie tego rodzaju pytań jest w dużej mierze nieporozumieniem. Rozsądną alternatywą dla nadopiekuńczości nie jest zaniechanie dzieci, lecz bycie lepszym rodzicem. Alternatywą dla pobłażliwości nie jest większa kontrola, lecz większa responsywność, a alternatywą dla narcyzmu nie jest konformizm, lecz refleksyjna buntowniczość. Zatem jeśli chcemy wychować zdrowe psychicznie i pełne entuzjazmu dzieci, musimy zakwestionować podsycany przez media lęk przed ich zepsuciem.

Rozdział 1

POBŁAŻLIWI RODZICE, ROZPIESZCZONE DZIECI I INNE MITY

Prelegenci w szkołach średnich i wykładowcy akademicki uwielbiają korzystać z pewnego retorycznego zabiegu, za pomocą którego ożywiają swoje nieco rozwlekłe wypowiedzi. Podają anonimowy cytat, który w bezpośredni sposób łączy się z danym tematem, a następnie podkreślają, iż pochodzi on sprzed kilkudziesięciu, a nawet kilkuset lat.

A jednak zabieg ten może służyć czemuś więcej niż tylko niewinnej rozrywce. Zapoznając się z uderzająco znajomymi spostrzeżeniami lub opiniami dawno już zmarłych ludzi, wyzbywamy się mitu wyjątkowości. Fakt, że nasi dziadkowie lub dalecy przodkowie mówili mniej więcej to samo – pomijając powierzchowne szczegóły – na temat pewnych aspektów współczesnego życia, powinien nas skłonić do poważnego zastanowienia się nad tym, co głosimy.

Rozważmy kwestię edukacji. Wielu sprawozdawców i emerytowanych nauczycieli z rezygnacją lub niesmakiem oznajmia, że standardy kształcenia wyraźnie spadły, a uczniowie mają coraz gorsze wyniki w nauce. Dzieci robią tylko tyle, ile muszą,

i jakoś uchodzi im to płazem. W dodatku są takie zadowolone z siebie i jeszcze ciągle się je chwali! Za co? Za ich bylejąkość!

W pewnym artykule czytamy: „W ostatnich latach rodzice z przerażeniem narzekają na to, że dzieci nie potrafią czytać na głos, literować ani wyraźnie pisać. Pracodawcy wyznali, iż mechanicy nie potrafią przeczytać nawet prostej instrukcji. Wiele uniwersytetów zarzuca szkołom średnim, że wypuszczają uczniów, którzy nie mają wystarczających umiejętności, aby przyswoić sobie nową wiedzę. Szkoły średnie z kolei muszą radzić sobie z uczniami, którzy nie nauczyli się dobrze czytać w szkole podstawowej”. Ta druzgocąca krytyka naszego systemu edukacyjnego wydaje się nie mieć końca. O dziwo, okazuje się jednak, że nie dotyczy ona właściwie naszego systemu kształcenia. Dlaczego? Dlatego, że artykuł został opublikowany w 1954 roku, gdy większość z nas nie miała jeszcze nic do powiedzenia na ten temat¹.

Nasuwa się tutaj oczywiste pytanie: „Kiedy dokładnie była ta złota era wysokich standardów?”. Naturalnie, nie istniała nigdy! Socjolog Richard Rothstein pisze: „Historie o upadku standardów kształcenia w XX wieku są w większości bajką”. W swojej książce *The Way We Were?* (Czy tacy byliśmy?) podaje przykłady podobnych ataków na system edukacji, cofając się o kolejne dekady². Każde pokolenie powołuje się na „stare dobre czasy”, a jednak okazuje się, że wtedy postępowało dokładnie tak samo.

W latach pięćdziesiątych XX wieku dorośli malkontenci z sentymentem wspominali swoje szkolne lata, kiedy to kładziono nacisk na wyniki i nie akceptowano żadnych wymówek. Gdy jednak oni sami byli dziećmi, ówczesni dorośli byli oburzeni, że nauczyciele oceniający eseje na konkursach zmuszani są

do wybierania tych, które „zawierają najmniej błędów” (1911), a uczniowie szkoły średniej nie potrafią odpowiedzieć na dwa spośród trzech pytań w teście dotyczącym „najprostszycy i najbardziej oczywistych faktów z historii Ameryki” (1917)³.

Przejdźmy do zjawiska zwanego inflacją ocen. Każdy z nas słyszał, że w dzisiejszych czasach dobre oceny są rozdawane jak cukierki. Harvey Mansfield z Uniwersytetu Harvarda głosi powszechnie przyjętą opinię o skandalicznym upadku rygorystycznych standardów, który „rozpoczął się pod koniec lat sześćdziesiątych i we wczesnych latach siedemdziesiątych”⁴. Czyżby więc winę za to ponosili ci wszyscy radykalni profesoremie o zbyt miękkich sercach zatrudnieni w tych latach? A oto fragment raportu Komitetu Podnoszenia Standardów z Uniwersytetu Harvarda: „Oceny dobre i bardzo dobre są przyznawane zbyt często. Oceny bardzo dobre otrzymują uczniowie za pracę o zbyt niskim standardzie, a dobre za pracę zaledwie powyżej przeciętnej. Jedną z głównych przeszkód utrudniających podniesienie standardów przyznawania ocen jest fakt, że obłudni studenci chętnie przyjmują dopuszczalne oceny za swój rzekomy wysiłek”. Problem polega na tym, że raport ten napisano... w 1894 roku. W tamtych czasach system ocen literowych wciąż był jeszcze nowością na uniwersytetach – wprowadzono go dopiero niecałe dziesięć lat wcześniej – a jednak poprzednicy ideologiczni Mansfielda już wtedy narzekali, jak niewiele te oceny znaczą⁵.

„Nostalgia to tylko odwrócona amnezja” – pisała poetka Adrienne Rich. Naturalnie, samo przedstawienie tych dowodów nie sprawi, że dzisiejsi malkontenci przestaną narzekać na upadek społeczeństwa.



Zastanówmy się, czy w wypadku takich stwierdzeń, jak „współczesne dzieci są coraz bardziej rozpieszczone” oraz „rodzice tracą autorytet”, również mamy do czynienia z nieustannie powtarzaniem echem przeszłości?

Starsi czytelnicy nie muszą szperać po archiwach, gdyż doskonale wiedzą, że już od dawna potępia się pobłażliwość wobec dzieci. Przedstawiane obecnie opinie na temat uległych rodziców i ich rozpieszczonych potomków można odnaleźć zarówno w książkach publikowanych na początku lat dziewięćdziesiątych – takich jak *Spoiled Rotten. Today's Children and How to Change Them* (Zepsute do szpiku kości. Dzisiejsze dzieci i jak je zmienić) – jak i w latach osiemdziesiątych, na przykład *Parent Power* (Władza rodzicielska). Ta ostatnia została napisana przez chrześcijańskiego konserwatystę Johna Rosemonda, ale co najmniej trzy inne książki wydane w ciągu ostatnich kilkunastu lat wykorzystywały ten sam tytuł i namawiały do narzucenia dzieciom większej kontroli.

Nieco wcześniej, bo w 1976 roku, „U.S. News and World Report” opublikował artykuł: *Permisywizm – piękna idea, która się nie sprawdziła*. W 1972 roku Joseph i Lois Bird napisali w swoim manifestie *Power to the Parents*: „Uczenie dzieci odpowiedzialności nie jest popularne”. Ich zdaniem „większość rodziców i nauczycieli ma zbyt małe wymagania” wobec dzieci, a w rezultacie musimy martwić się nie tylko „okropnymi nastolatkami”, ale także „zbuntowanymi jedenastolatkami i dwunastolatkami oraz zaczepnymi dziećmi z podstawówek”. Birdowie wspominają „prostsze czasy” – chociaż nie podają, jaki dokładnie okres mają na myśli – w których „doskonale wiedzieliśmy, jakie mamy

przekonania”, zanim ci „pseudopsychologowie” zaczęli nam powtarzać, że dzieci potrzebują większej wolności⁶.

Stosunkowo niedawno na okładce „Time’a” pojawiła się ilustracja uśmiechającego się z wyższością chłopca, który stoi z założonymi rękami i złotą koroną na głowie, a wokół niego znajduje się ogromna kolekcja zabawek. Ilustracji towarzyszy pytanie: „Czy dzieci mają za dużą WŁADZĘ?”. Zgadnijcie, jaka była odpowiedź? W artykule podano, że „Osiemdziesiąt procent ludzi uważa, iż dzieci są dziś bardziej rozpieszczone niż dziesięć lub piętnaście lat temu”⁷. Mamy jednak powody przypuszczać, że sondaż przeprowadzony dziesięć lub piętnaście lat wcześniej przyniósłby podobne wyniki. Autorka książki *Spoiling Childhood* (Zepsute dzieciństwo) ostrzega: „Weszliśmy w erę permissywizmu, w której najważniejsza stała się gratyfikacja”⁸. Trudno się zgodzić z takim stwierdzeniem, ponieważ słowo „era” w tym wypadku nie określa, o jaki przedział czasowy chodzi. Widzimy wyraźnie, że nie ma zbyt wielkiej różnicy między tym, co obecnie słyszymy o wychowaniu dzieci, a tym, co powtarzano na ten temat w czasach, zanim jeszcze przyszła na świat większość dzisiejszych rodziców.

A może mamy do czynienia z konsekwencjami dłuższego okresu pobłażliwości i upadku wartości, który zaczął się od pokolenia wyżu demograficznego? Tamtym dzieciom pozwalano na wszystko, więc może tak samo wychowują teraz swoje dzieci? Czy te wszystkie negatywne zjawiska rzeczywiście zaczęły się od ogromnych zmian, jakie zaszły pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku lat siedemdziesiątych? Czy wcześniej, zanim społeczeństwo straciło dawną klasę, wychowywano dzieci bardziej odpowiedzialnie?

Może na początku lat sześćdziesiątych było inaczej? Najwy-

rażniej nie. Dziennikarz Peter Wyden w swojej książce *Suburbia's Coddled Kids* (Rozpieszczone dzieci z przedmieść) opublikowanej w 1962 roku oznajmił, że rodzicom „coraz trudniej jest mówić NIE i trzymać się tego”. Na okładce widzimy dziecko rozłożone na otomanie, zjadające się winogronami. Mama je wachluje, a tata trzyma nad nim parasolkę, aby ochronić je przed słońcem⁹.

„Newsweek”, który kilka lat temu ostrzegał, jak ważne jest, by „po prostu mówić NIE” współczesnej młodzieży, która „chciałaby mieć wszystko”, we wczesnych latach sześćdziesiątych szokował okładką, na której widniała mała dziewczynka z wyciągniętymi dłońmi, na których znajdowali się miniaturowi matka i ojciec, oraz złowieszcze pytanie: „Czy jesteśmy zniewoleni przez dzieci?”. Autor artykułu posłużył się cytatem z książki *The Child Worshipers* (Wielbiciele dzieci) z 1963 roku napisanej przez Marthę Weinman Lear: „Czy nam się to podoba, czy nie, żyjemy w społeczeństwie zorientowanym na dzieci”, a „kult dziecka jest w pewnym sensie epidemią narodową”¹⁰.

Może więc w latach pięćdziesiątych było lepiej, pomijając kwestię niskich standardów nauczania? Spójrzmy, co napisali w tych latach Marguerite i Willard Beecherowie, autorzy książki *Parents on the Run* (Rodzice w biegu).

Był taki czas, kiedy to rodzice decydowali o tym, jak wychowują swoje dzieci. Skupiano się wówczas na tym, by dzieci wychowywać, a nie wysłuchiwać. Młodzi ludzie mieli wpojony lęk przed rodzicami i Bogiem. Nie było żadnego pyskowania ani wygadywania bzdur. W dawnych czasach to dorośli byli w rodzinie najważniejsi. Dziś [1955 rok] mamy do czynienia z rodzinami skupionymi na dzieciach, w których brakuje spokoju i porządku, a już z pewnością szacunku i lęku przed autorytetem. We współ-

czesnych tragicomicznych rodzinach to dziecko ma władzę autokratyczną. Rodzice są zaledwie tolerowani we własnych domach. Dzieci nie słuchają dziś swoich rodziców¹¹.

Z podobnymi zarzutami możemy spotkać się w sondażu przeprowadzonym w tamtym czasie, w którym respondenci skrytykowali rodziców za to, że „nie są wystarczająco surowi”, a także w artykule *Kiedy i jak mówić NIE* opublikowanym w czasopiśmie „Parents” w styczniu 1950 roku, w którym połączono rodziców za „niezdolność do podejmowania decyzji i przejęcia odpowiedzialności, jakiej wymaga dorosłość”¹².



Wiemy już zatem, że pokolenie dzieci kwiatów wcale nie zapoczątkowało problemu, który omawiamy. Oto alternatywna hipoteza: być może zaczął się on od doktora Benjamina Spocka, którego imię w kręgach konserwatywnych od dawna jest utożsamiane z pobłażliwym stylem rodzicielstwa? Jedna z autorek twierdzi, iż przyczyną braku szacunku dzieci do starszych jest „wpływ postępowych pedagogów i ekspertów od wychowania”, i dodaje: „Ruch ten zapoczątkował doktor Spock”¹³.

To wyjaśnienie jednak również budzi poważne wątpliwości. Słynna książka doktora Spocka *Dziecko. Pielęgnowanie i wychowanie*¹⁴, opublikowana w Stanach Zjednoczonych w 1946 roku, wcale nie brzmi jak podręcznik pozwalania dzieciom na wszystko. Spockowi zaczęto przypisywać permissywne podejście głównie dlatego, że zasugerował, iż rodzice nie powinni narzucać niemowlętom sztywnego harmonogramu karmienia ani zmuszać dzieci do korzystania z nocnika, jeśli nie są na to gotowe. Rzeczywiście pod tym względem Spock miał dość ła-

godne zapatrywania. A jednak kwintesencją jego podejścia jest rada: „Zaufaj sobie”, a nie „Zaufaj dziecku”. Spock radził: „Nie pytamy: «Czy chcesz...?»», tylko robimy, co trzeba. Łatwo wpaść w nawyk pytania malucha: «Czy chcesz usiąść i zjeść obiad?». Lepiej nie sugerować możliwości wyboru”¹⁵.

Książka miała siedem kolejnych wydań, które ukazały się jeszcze za życia Spocka, a sam autor wraz z upływem czasu wyrażał coraz bardziej konserwatywne poglądy. Już w drugiej edycji z 1957 roku na pierwszej stronie podkreślał, że współczesni mu sumienni rodzice będą prawdopodobnie mieli problem z dzieckiem z powodu własnego permissywizmu. Podobnie jak wielu innych autorów, uważał to za poważny problem i najwyraźniej sam go nie stworzył. W trzeciej edycji książki wyraził jeszcze większy niepokój w odniesieniu do rozpieszczania dzieci i zalecał, by rodzice zostawiali płaczące w łóżku dziecko, żeby nie uzależniało się od ich wsparcia. Spock nie tylko latami uaktualniał swoją książkę, ale także podważał zarzuty, jakoby propagował permissywizm – poczynając od przedmowy z 1948 roku, w której zaprzeczył, iż nie mógłby być „na tyle niemądry, by kiedykolwiek powiedzieć, że dziecko nie potrzebuje kontroli, jak to niektórzy mi zarzucali”, a kończąc na artykule *Nie obwiniajcie mnie!*, opublikowanym niemal ćwierć wieku później¹⁶.

Kolejny problem z obwinianiem Spocka polega na tym, że tradycjoniści potępiali pobłażliwe podejście do dzieci, zanim jeszcze ten słynny pediatra zabrał się za pisanie. Tuż przed ukazaniem się pierwszego wydania jego książki autor artykułu *Wychowałem trzech samolubnych, małych dzikusów*, zamieszczonego w czasopiśmie „American Home”, oświadczył, że przez modę na postępowe podejście do wychowania jego własne potomstwo uwierzyło, iż jest „ważniejsze niż wszystko i wszyscy”¹⁷.

Ale już nawet w latach dwudziestych wyrażano „głośny protest wobec utraty rodzicielskiego autorytetu we współczesnych domach rodzinnych”¹⁸. Czytelników „The Atlantic Monthly” uraczono surową krytyką młodego pokolenia. Autorka zamieszczonego tam eseju przyznała, że dzieci zawsze podążały za przyjemnościami, ale obecnie zjawisko to „nie przypomina niczego, co kiedykolwiek obserwowaliśmy u młodych ludzi”. Jej zdaniem rodzice nie wkładają serca w wychowanie dzieci, którym wszystko przychodzi tak łatwo, że zupełnie brakuje im samodyscypliny. Zapomnijmy o tradycyjnych wartościach: dziś panuje kult ego. Esej ten, autorstwa Cornellii A.P. Comer, został opublikowany w 1911 roku¹⁹, gdy Benjamin Spock miał osiem lat.

Kilka lat później artykuł Comer ukazał się w antologii opatrzonej komentarzem redaktora: „Starsze pokolenie jest oszołomione. Nie potrafi zrozumieć wolności młodych ludzi. Zgadza się z zagranicznymi obserwatorami, iż amerykańskie dzieci mają najgorsze maniery na całym świecie, są dogłębnie zepsute, dążą jedynie do przyjemności i nie dbają o obowiązki, przez co zmierzają prosto do destrukcji”. Następnie dodaje: „Chociaż świat z pewnością już wcześniej się zmieniał, nigdy wcześniej nie zmieniał się w tak zawrotnym tempie, jak w ostatnich kilku latach” – w tym wypadku znaczy to od 1915 roku²⁰.

Innymi słowy: tym razem naprawdę jest inaczej. To samo piszą dziś ludzie na swoich blogach – a przecież sto lat temu te same skargi zapisywano jeszcze wiecznymi piórami.

Cofnijmy się jeszcze dalej. Oto jak wyraża swoją dezaprobatę pewien Anglik, odwiedzający Stany Zjednoczone w 1832 roku: „Zauważyłem całkowity brak dyscypliny i podporządkowania wśród dzieci w każdym wieku”²¹. Tak naprawdę cięż-

ko ustalić, kiedy właściwie był taki czas w historii ludzkości, w którym nie uskarżano się na dzieci. Pewien autor już w latach czterdziestych XVII wieku potępiał je za to, że obnoszą się ze swoją arogancją, „dumnie, lekceważąco i z pogardą wobec rodziców”²². Ponadto, istnieją źródła sprzed tysiący lat, w których możemy spotkać takie same skargi. Oto tyrada powszechnie przypisywana greckiemu poecie Hezjodowi, żyjącemu w VIII wieku p.n.e.

Nie widzę żadnej nadziei dla ludzkości, jeśli ma ona polegać na współczesnej niefrasobliwej młodzieży, gdyż wszyscy młodzi ludzie są dziś nieopisanie lekkomyślni. Gdy ja byłem młody, uczono nas rezerwy i szacunku do starszych, ale dzisiejsza młodzież jest wyjątkowo niegrzeczna i brak jej zahamowań.

A oto cytaty przypisywane Sokratesowi:

Dzisiejsze dzieci za bardzo lubują się w luksusie. Mają paskudne maniery, lekceważą autorytety i nie mają żadnego szacunku do starszych. Jakimi więc okropnymi istotami się staną, gdy dorosną?²³

Naturalnie, te liczne precedensy historyczne nie wykluczają prawdopodobieństwa, że współcześni rodzice rzeczywiście są za bardzo permissywni. Ale argumenty, z którymi spotykamy się w książkach, artykułach, na seminariach i przyjęciach, chcą nas przekonać, że współcześni rodzice są znacznie bardziej pobłażliwi niż kiedykolwiek wcześniej. Wszędzie słyszymy, że kiedyś stawiano dzieciom granice i dzieci były posłuszne – co uznaje się za właściwe i pożądane. Standardy były wysokie, a uczniowie zmotywowani i zdyscyplinowani. Kiedy jednak okazuje się, że dawniej ludzie mówili dokładnie to samo, to wykonujemy pierwszy krok w kierunku obalenia tego mitu.

Czy rodzice rzeczywiście są permissywni?

Przyjrzyjmy się generalizującym twierdzeniom, że dzieci są dziś zbyt rozpieszczone, ponieważ rodzice nie potrafią stawiać granic. Każdy rozsądnie myślący człowiek jest w stanie zauważyć, że w tym jednym zdaniu mieszczą się w zasadzie aż trzy tezy: rodzice nie stawiają granic, dzieci są za bardzo rozpieszczone, a pierwszy problem jest przyczyną drugiego.

Tezy te należałoby jednak udowodnić. Przykłady z życia wzięte nie wystarczą, nawet jeśli sprawiają, że kręcimy głową i cmokamy z dezaprobatą. Musimy jeszcze dowieść, że historie, które słyszymy, oraz zachowania, jakie obserwujemy, są charakterystyczne dla ogółu społeczeństwa. Aby tego dokonać, należałoby precyzyjnie zdefiniować poruszane tutaj kwestie. Takie twierdzenia, jak: „Rodzice pozwalają, by ich dzieciom wszystko uchodziło na sucho” lub „Dzieci wymknęły się spod kontroli” nie są możliwe do zweryfikowania – nie tylko dlatego, że są ogólnikowe, lecz także dlatego, że ukazują wewnętrzne wartości osoby, która je wygłasza. Możemy przypuszczać, że taka osoba ma na myśli: „Rodzice pozwalają dzieciom na zachowania, których powinni im zabraniać” lub „Nie pochwalam zachowania niektórych dzieci”. Aby móc jednak stwierdzić, że w dzisiejszych czasach pewne zachowania występują częściej niż kiedyś, należy je dokładnie zdefiniować i dopiero potem porównywać z poprzednimi okresami historycznymi.

Zastanówmy się, jak moglibyśmy ustosunkować się do następującego zarzutu: „Żyjemy w społeczeństwie skoncentrowanym na dzieciach, w którym dziecięce zachcianki i żądania są coraz częściej stawiane na pierwszym miejscu”²⁴. Po pierwsze, możemy zapytać, jak to się ma do niepokojących wskaźników

społecznych świadczących o dużej liczbie ubogich dzieci lub do tego, że nieletni wciąż są osądzeni i więzieni na takich samych zasadach jak dorośli. Moglibyśmy również zwrócić uwagę na to, że podejście do dzieci w naszej kulturze jest co najwyżej ambiwalentne. Rodzice kochają własne dzieci, ale nie mają cierpliwości do cudzych. Czasem zachwycamy się dziećmi, ale znacznie częściej traktujemy je jako utrapienie. Dobre dziecko to takie, które siedzi cicho i spokojnie. Ankiety konsekwentnie potwierdzają, że dorośli wykazują się pewną tendencją, którą w jednej gazecie nazwano: „zaskakującą wrogością nie tylko w stosunku do nastolatków, ale także do małych dzieci”. Znaczna większość dorosłych obywateli wyraża swoją dezaprobatę wobec dzieci w każdym wieku i uznaje je za niegrzeczne, leniwe, nieodpowiedzialne i pozbawione podstawowych wartości²⁵.

W latach trzydziestych XX wieku badacz Harold Anderson napisał: „Myślę, że nasza kultura nie nauczyła nas lubić dzieci”. Wygląda na to, że od tamtej pory niewiele się zmieniło. W 2012 roku Elisabeth Young-Bruehl poświęciła całą książkę „szerokiemu zakresowi antydziecieńczych zasad społecznych i zachowań”²⁶.

Z drugiej strony, już od dłuższego czasu obserwujemy pewną zmianę, polegającą na tym, że dzieci coraz częściej są postrzegane jako istoty ludzkie posiadające wrodzoną wartość. W industrialnym świecie coraz rzadziej zmusza się je do pracy i postrzega jako ekonomiczny nabytek, jak to było w XIX wieku²⁷. Coraz rzadziej uważa się je za istoty grzeszne, które trzeba sobie podporządkować. W czasach purytańskiej Nowej Anglii dzieci publicznie chłostano. Zabawę uznawano za nieprzyzwoite i niedopuszczalne zajęcie, nawet dla maluchów. Niemowlęta opisywano jako „brudne, winne, wstrętne, obrzydliwe” istoty i tak właśnie się z nimi obchodzono²⁸. W historii

ludzkości dzieciobójstwo było częstym zjawiskiem, a dzieci stale porzucano, torturowano i wykorzystywano seksualnie. „Aż do czasów współczesnych nie mogłem znaleźć dowodów na istnienie takiego rodzica, którego dziś nie zamknięto by w więzieniu za znęcanie się nad dziećmi lub zaniedbanie” – pisze historyk Lloyd deMause²⁹.

Podjęcie do dzieci różni się i zależy od okresu, jaki weźmiemy pod uwagę. Mamy do czynienia z „rosnącą uczuciowością wobec dzieci i zainteresowaniem ich rozwojem w ciągu ostatnich kilkuset lat w industrialnych społeczeństwach zachodnich”³⁰, ale to nie oznacza, że nasza kultura jest skoncentrowana na dzieciach w pejoratywnym sensie, który sugeruje, że potrzeby i życzenia rodziców stały się drugorzędne wobec potrzeb i życzeń dzieci.



Czy współcześni rodzice są bardziej permissywni niż kiedyś? Musimy się zastanowić, czy słowa „permissywność” lub „permissywizm” nie odnoszą się czasem do traktowania dzieci w bardziej humanitarny sposób, wysłuchiwanie tego, co mają do powiedzenia na temat swojego życia, a także brania pod uwagę ich preferencji? A może chodzi o to, że jesteśmy teraz bardziej skłonni zwracać uwagę na to, czy małe dzieci są głodne lub zmęczone, zamiast zmuszać je do jedzenia lub spania wtedy, gdy jest to dla nas wygodne? Albo o to, że czasem pozwalamy im się powyglupiać i pobawić, a także przytulamy je, gdy płaczą?

Rzeczywiście mamy do czynienia z takimi właśnie zmianami i to do nich początkowo odnosił się termin *p e r m i s y w n o ś ć*